

Artur Kamczycki

(Poznań-Gniezno)

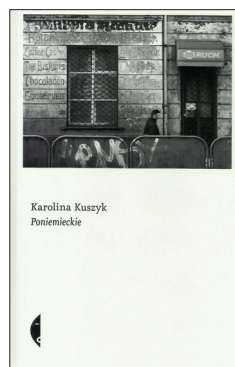
<https://orcid.org/0000-0002-4471-9020>

WILLKOMMEN IN DEN ERWORBENEN LÄNDERN

Karolina Kuszyk, Poniemieckie, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2019, ss. 464

Prawdziwa historia: lata 90. XX wieku. Grupa licealistów z Zielonej Góry stoi przed zamkiem królewskim w Warszawie. Nauczycielka mówi: „moi drodzy, znajdujemy się teraz przed bardzo ważnym, zabytkowym budynkiem”. Nagle jeden z uczniów przerywa: „O! to musi być poniemieckie”.

Sytuacja ta jest z natury swej dość „szkolna”, a nawet naiwna, ale obrazuje pewien społeczno-psychologiczny fenomen dotyczący wielu Polaków wychowanych w miastach i miasteczkach przyłączonych do kraju po drugiej wojnie światowej. Jak się okazuje, nawet w końcu XX wieku dla części „zachodnich kresowiaków” każda godna uwagi architektura zawiera w sobie niezmywalną „jakość” odziedziczoną po jej pierwotnych właścicielach. Nie chodzi tu więc tylko o estetyczny zachwyt, ale o ukrytą w tym nutę obcości; o coś, co jest nie do końca własne, „oswojone” i udomowione. To „poniemieckie” – jak jakieś uporczywe echo – tkwi nie tylko w solidnych murach, ścianach, fasadach i portalach, ale też głęboko w parkach i lasach, na polach, wzdłuż rzek i torów kolejowych; w kamiennych brukach i lipowych alejach łączących wsie i miasteczka. To „coś” tkwi w domowych serwisach, pod talerzem na zupę, w „zucker-niczkach”, „zentrefugach” i w starym zegarku na ręce. Czasem w wekach na spiżarnianych półkach, no i na obrazach – tych w sypialni, i tych w kuchni. Tkwi w historiach rodzin, ich tragedii lub szczęściu, w języku, w imionach lub głęboko w pamięci jednostek – czasem nigdy nieujawnione, nieopisane, stłamszone.



„Poniemieckie” to tytuł debiutanckiej książki Karoliny Kuszyk, wydanej w 2019 roku przez Wydawnictwo Czarne. Niewtajemniczonemu czytelnikowi od razu nasuwa się pytanie, o czym właściwie ta książka jest, a przede wszystkim: do czego odnosi się ów intrygujący, jednowyrazowy tytuł. Jak sama autorka tłumaczy – zresztą w konsultacji z autorytetem w dziedzinie języka polskiego, Janem Miodkiem – ten przymiotnik [poniemieckie] z przedrostkiem „po” to bardzo polskie słowo analogiczne do „pożydowskiego” i „podworskiego”. Jak objaśnia profesor Miodek, przymiotnik ten („poniemieckie”) jest niezwykle precyzyjny i oznacza tyle, co „niemieckie, które przeszło na własność Polaków, jest *po-niemieckie*, po Niemcach. Już nie niemieckie” (s. 89). Zdaniem językoznawcy, dzisiejsza tendencja językowa nakazywałaby jednak mówić o „postniemieckości”, podobnie jak o postmodernizmie, poststrukturalizmie czy postprawdzie (s. 89). Dalej autorka książki tłumaczy, iż ten wygodny przedrostek *po-* nie do końca odpowiada powojennej rzeczywistości. Co znamienne, objaśnienia te znajdują swoje miejsce w rozdziale drugim, zatytułowanym „Szaber”.

Jeśli warunkiem szabru jest uznanie przywłaszczanego mienia za bezpańskie, to szabrowanie *przed*, czyli odbieranie rzeczy właścicielowi, który jeszcze nie umarł ani nie został wysiedlony, musiała poprzedzać konstatacja, że ten nie jest już danej rzeczy panem. To chyba dlatego przymiotniki *pożydowski* i *poniemiecki* (...) wywołują czasem zażenowanie i wstyd. Jakby stworzono je dla zamaskowania tych wszystkich zabiegów, które były nieodzowne, by móc dobrać się do rzeczy ze spokojnym sumieniem. Bo przecież nie wolno pożądać rzeczy bliźniego swego. Co innego z nie-bliźnim (s. 91-92).

Publikacja Karoliny Kuszyk nie jest dysertacją naukową i nie stanowi analizy *stricte* akademickiej, niemniej jednak w rzeczowy sposób podejmuje ów niezwykle ważny, społeczno-psychologiczny problem dotyczący zarówno ludzi, jak i miejsc, rzeczy, pamięci, historii, współczesnych narodowych mitów, polskich kompleksów, „światopoglądów”, wyobrażeń i stosunku do Innego oraz do rzeczy od Innego pochodzących. Na ponad 450 stronach autorka dokonuje pionierskiego w swym zamyśle zmierzenia się z poniemieckim duchem ziem przyłączonych do Polski i opisuje ten fenomen w sposób dość osobisty, a zarazem lekki, z nutą ironii i humoru oraz empatią i szczerością.

Książka opiera się o źródła archiwalne, z których najistotniejsze są „Pamiętniki osadników” (aż 53), będące pokłosiem konkursów organizowanych przez Instytut Zachodni w Poznaniu w latach 1957, 1966 i 1970. Ponadto praca korzysta z dość bogatej literatury zarówno przedmiotu, jak i podmiotu, w postaci książek, artykułów i felietonów, a także z dawnych dekretów, ministerialnych rozporządzeń, uchwał i zarządzeń. Źródłem treści jest też szereg rozmów przeprowadzonych przez autorkę z polskimi i niemieckimi badaczami kultury materialnej, z historykami, regionalistami i aktywistami oraz z pracownikami

muzeów, pisarzami i zwykłymi mieszkańcami „domu poniemieckiego” – od Międzygórze, przez Nadodrze, aż po Szczecin.

Książka składa się z siedmiu rozdziałów: 1. „Domy”, 2. „Szaber”, 3. „Meble”, 4. „Rzeczy” (Słoi, Obrazy i obrazki, Pocztówki), 5. „Skarby i tajemnice”, 6. „Cmentarze”, 7. „Liegnitz”. Rozdziały poprzedzone są kilkunastostronicowym wstępem, który nie tylko objaśnia cel i zakres tematyczny publikacji, ale i rozpoczyna się w fenomenalny sposób od przywołania sceny z filmu „Sami swoi”, stanowiącej tu metaforę strukturalnie bardzo złożoną, ale też niezwykle wymowną. „Taż przecie to książd jeszcze poniemiecki” – mówi Mania Pawlakowa, gdy babci Leoni zbiera się na umieranie, a książd wezwany, żeby udzielić jej ostatniego namaszczenia, jest, no cóż, Niemcem. „Bóg ten sam co w Krużewnikach” – odpowiada Pawlak, choć z niejakim wahaniem” (s. 7). Zaraz potem następuje przywołanie innej sceny z tego samego filmu, w której Witia, syn Pawlaka, chcąc kupić kota, zastanawia się głośno, że on pewnie poniemiecki. Sprzedawca oburza się i deklamuje manifestacyjnie, że z centralnej Polski go wiezie: „kot z miasta Łodzi jest”. Gag o kocie – jak pisze autorka – miał pokazywać w krzywym zwierciadle niechęć repatriantów do wszystkiego, co niemieckie, aczkolwiek scenariusz Andrzeja Mularczyka do tego filmu stanowi metaforę ówczesnej sytuacji jako niezwykle złożonej wewnętrznie struktury. Tak jak Lubomierz niepodobny jest do Krużewnik, tak też Pawlaci i Kargule różne są od Niemców (akcentując na sposób kresowy). Dziś film ten uchodzi już za nieco „obciachowy”, ale jeszcze pokolenie temu, gdy 80% polskiej społeczności stanowiły „chłopskie wnuki i prawnuki”, prawie każdy mógł się w nim odnaleźć. Jeszcze w 1995 roku co trzeci Polak mieszkał w domu *poniemiickim* (s. 20) a „prawdziwy” obraz Niemca wywodzono z „Czterech pancernych”, co także nie mogło sprzyjać polsko-niemieckiej przyjaźni.

Lekturę książki Karoliny Kuszyk odebrałem w sposób bardzo subiektywny: jako materię dotyczącą mnie osobiście; jako nurtujący temat, który nie od dziś wzbudza emocjonalne refleksje. Właśnie dlatego miałem wobec publikacji określone oczekiwania – ale o tym poniżej. Subiektywny i osobisty charakter recepcji umotywowany jest złożonością moich korzeni, które – jak pajęczyna – rozchożdzą się po znacznej części Europy. Dzieciństwo spędziłem dokładnie w miejscu, gdzie ponad 70 lat temu przebiegała granica polsko-niemiecka, co ugruntowało pytania o tożsamość wyrosłą z tego „pogranicza”. Z jednej strony ucha towarzyszył mi charakterystyczny wileński zaśpiew mojego dziadka (inny od pawlakowego), z drugiej docierały specyficzne konstrukcje zdań z czasownikiem na końcu i charakterystycznym „ehrr” mojej babci, urodzonej i wychowanej w mieście Brandenburg. Babcia Herta nauczyła się polskiego po wojnie, ale jej dzieci, czyli

moja mama i jej rodzeństwo, zawsze zwracali się do niej czułym „Muti”. Babcia pozostała w miejscu odziedziczonym po swojej rodzinie, która w 1951 roku określiła się jako niemiecka i już nigdy do Polski nie powróciła. Pomimo iż nowy dom został przez dziadka zbudowany w latach 60. od podstaw i według jego własnego projektu, to pozostały w nim „rzeczy”. Była szabla, której nie dano mi zobaczyć, a która przyjechała z Wilna i ponoć w 1905 roku rąbała rewolucjonistów. Były wileńskie fotografie z tego samego okresu – dostojni mężowie w carskich oficerskich mundurach, a jakże. Drugi oficerski portret w domu, pruski oleodruk, przedstawiał pradziadka, ojca babci Herty w wysokich za kolana butach z ostrogami. Wyprostowana sylwetka, bokobrody jak u Kajzera, a na głowie hełm z wielkim czubem, z którego do ramion opadał puszysty pióropusz. Na klapie czarny krzyż za zasługi na froncie francuskim w 1914 roku. Obraz – chociaż go nigdy jakoś specjalnie nie eksponowano – przez babcię był pielęgnowany i „czczony” aż do momentu, gdy nagle zniknął bez śladu. Nie odnaleźliśmy go pomimo wszczętych rodzinnych poszukiwań. Przygasająca z czasem niemieckość ożywiła się nieco i powróciła do domu w dobie anten satelitarnych, dzięki którym dostępne były programy telewizyjne zza Odry. Polskie kanały satelitarne jeszcze nie istniały, ale za to babcia dzięki antenie była w siódmym niebie. W domu gościły jeszcze książki. Oprócz tych kucharskich, atlasów anatomicznych i książeczek do nabożeństwa (nieużywanych, ale w za to w pięknym gotyku) były też te ukryte: cała szafa trzydrzwiowa na strychu. „Babcine” książki polskie były zawsze tylko na stoliku przy łóżku i właściwie pochodziły wyłącznie z publicznej biblioteki. „Rzeczy” powoli znikają, w tym także książki ze strychu, a *niemieckość* została jakoś rozmazana, albo może „wyczyszczona”, zrepolonizowana.

Historia ta – być może przedstawiona tu nieco sentymentalnie – stanowi swego rodzaju rewers wszystkich tych, które opisuje w swej książce Karolina Kuszyk. Niemieckość jest tu w jakiś sposób rodzinną ciągłością, która jednak w pewnym momencie się rozmydla i pomału więdnie. Natomiast w historiach opisanych w książce sytuacja dotyczy *rzeczy* i miejsc, które stały się w jakiś sposób „dziedzictwem pozyskanym” (ani danym, ani ukradzionym), i w ten sposób ich *poniemieckość* jest jakby uporczywym duchem lub stanem, który porównać można do freudowskiego określenia *unheimlich*. Ten fenomenalny termin został też wykorzystany i krótko objaśniony w książce w podrozdziale zatytułowanym „Niesamowita poniemieckość. Dyżurne legendy” (s. 317-324):

Unheimlich, niesamowite, to zjawisko, które jest zarazem bliskie, i obce, i dlatego wywołuje niepokój i lęk (...) jest czymś dobrze znanym życiu psychicznemu, co jednak wyobcowało się za sprawą wyparcia. Z pozoru wygląda bezpiecznie, lecz ma też w sobie niemożliwą do wyrugowania obcość, która niepokoi – jak dom, który nie daje się do końca oswoić (s. 320).

Omówienie tego niezwykle wymownego i perfekcyjnie pasującego do sytuacji niemieckiego słowa zajmuje w książce zaledwie kilka stron, aczkolwiek mogłoby tu stanowić jeden z kluczowych wątków spajających właściwie wszystkie historie. *Unheimlich* jest antonimem terminu *heimlich* oznaczającego (po)tajemny, skryty i przytulny, i wyprowadzone zostaje od rzeczownika *Heim*, czyli – *dom* (rodzinny). Stanowi represyjną i pejoratywną, ale jednocześnie immanentną, nieredukowalną i nieuniknioną reprezentację stłamszonego elementu tożsamości (rzeczy i miejsc) i jest wszystkim tym, co powinno być sekretem, ale zostaje wyjawione, pokazane i uświadomione; jest tym, co ma być zamazane lub zakamuflowane, ale ujawnia się niezależnie i niespodziewanie – podobnie jak stare niemieckie napisy na fasadach budynków, wyłaniające się nieustannie spod wielu warstw farby regularnie nakładanej już od ponad 70 lat. Te niemieckie szyldy – uporczywie wyłażące na powierzchnię fasad – zawsze mnie interesowały, wzbudzając pytanie: jak to możliwe, że mimo że wszystko, co ponemieckie, traktowane jest z taką pogardą i skazywane na zniszczenie, niemieckie litery z jakąś wewnętrzną mocą potrafią nieustannie się uobecniać. Dotyczyło to wszystkich miejsc, w których dane mi było w latach szkolnych mieszkać lub przez jakiś czas przebywać: od Zielonej Góry przez Krosno Odrzańskie do Słubic i od Jeleniej Góry, przez Jawor, Zgorzelec, Świebodzin, po Gorzów Wlkp.

Te stare, namalowane przez Niemców szyldy – dzisiaj coraz rzadsze – zastępują nowe, wywieszane przez Polaków – jak ten na wielkiej ścianie nadrzecznej kamienicy w Zgorzelcu, na wprost mostu po stronie polskiej, krzyczący: „Zigaretten”, niczym „Witamy”. Od zgorzeleckiego szyldu zaczyna też swoją książkę Filip Springer¹ i opisuje w kategoriach estetycznej przyległości nazywanej „bólem dla oczu”. Sam doskonale pamiętam z wczesnych lat 90. ulicę nadodrzańską w Słubicach, którą Niemcy nazywali *Zigarettenstrasse*. Tak, to był ból dla oczu. Kwestie niemieckich napisów zastały przez autorkę także ciekawie i zabawnie zilustrowane na przykładzie pana Zbigniewa Czarnucha, który jako piętnastoletni harcerz skuwał z kolegami stare szyldy w Witnicy i okolicach Gorzowa w akcji „odpruszczenia”. (s. 162). Akcja oczywiście miała podstawę prawną – wydany w 1947 roku okólnik Ministerstwa Ziem Odzyskanych nakazujący usunięcie niemieckich napisów z kościołów, kaplic, cmentarzy itp. Niszczenie wszelkich śladów niemieckości było wówczas postawą patriotyczną, ale od lat 70. pan Zbigniew był pierwszym człowiekiem w Witnicy, który zaczął rozmawiać z przejeżdżającymi Niemcami i zapraszać ich do siebie. Słowo *niemiec* – jak zauważa autorka – pisano wówczas jeszcze małą literą, a niechęć do przybyczy zza Odry była wtedy ogromna i powszechna.

W tym miejscu można by się pochylić nad kwestią socjologicznego, lub socjo-psychologicznego pojęcia Inności Niemca w polskiej kulturze – i tego wąt-

¹ Springer 2020, s. 6-7.

ku także w książce oczekiwałem. Inny to „obcy” – jakby w opozycji do „samych swoich”. Kolejna scena ze tego filmu jest taka: Wita patrzy przez okno pociągu na puste pola i nagle zwraca się do ojca, pokazując palcem: o tam! człowiek! Po czym Pawlak z niesmakiem i nutą niedowierzania odpowiada: „eee tam człowiek. Tutejszy!” Tutejszy więc nie jest człowiekiem, jest Obcym, Innym, i w tym momencie następuje totalne przewartościowanie. Na „obcą” ziemię przyjeżdżają „sami swoi”, którzy są na tej ziemi przecież obcymi, niemniej jednak za obcych i innych, za nie-ludzi, uważają „tutejszych”. Niemiec w polskiej powojennej kulturze i rzeczywistości został z-relegowany do najniższego możliwego poziomu; został totalnie u-stygmatyzowany. Jako „obcy” był potrzebny dla dowartościowania „swojskości”. Według Anne Peschken² „Zajmowanie się Niemcami nie wynika bynajmniej z zainteresowania Innym, NIE chodzi tu o dialog – przeciwnie, jest to raczej próba upewnienia się co do własnej wartości”. Tym samym Peschken dzieli „Niemca” w polskiej kulturze na pięć kategorii: okupant, hitlerowiec, wypędzony, człowiek, który rozliczył się z przeszłością i typ piąty – nostalgiczny turysta. Ten ostatni też jest niebezpieczny – o czym w ciekawy sposób pisze w swojej książce Karolina Kusztyk. Dzisiaj jednak, jak podkreśla autorka – występuje przede wszystkim w literaturze, jako „czyhający na czytelnika”, zwłaszcza u Olgi Tokarczuk, Pawła Huellego, a także u Joanny Bator i Szczepana Twardocha. Ta kulturowa „pretensja” wynika też z tego, że podczas gdy „Polacy z niebywałą pilnością zajmują się Niemcami, pracują nad tym do upadłego, to sami Niemcy prawie Polaków nie zauważają”³. Ponadto, większość Polaków najzwyczajniej nie potrafi zrozumieć, jak można wyjść z klęski, nie wzmagając patriotyzmu, nacjonalizmu i patosu⁴. Podczas gdy Niemcy już od dawna wykazują swą cywilizacyjną dojrzałość (i otwartość) wobec kompleksogennej „rozrachunku z przeszłością” (niem. *Vergangenheitsbewältigung*), to w kulturze i dyskursie polskim nieustannie pokutuje mit usprawiedliwionej od wszelkich czynów ofiary.

Cała złożoność tej refleksji wyrasta z lektury „Ponemieckiego” – jest to książka niebanalna, wręcz fascynująca. Każdy z rozdziałów stanowi tu ważny przyczynek do głębokiego namysłu, komentarza i własnych analiz. Książka ta, pomimo, iż w opinii samej autorki, „nie rości sobie pretensji do bycia pracą badawczą” (s. 22) i nie ma jakiejś wyraźnej i jednoznacznie zdefiniowanej tezy, ma walor, można powiedzieć, „uświadamiający”. Niewiele dzieli ją od „naukowości” i jest

² Peschken 2016, s. 114.

³ Ibidem.

⁴ Ibidem, s. 116.

ważnym głosem we współczesnej debacie historyczno-kulturowej, z którym co najmniej połowa Polaków powinna się zapoznać.

Pomimo tej powyższej serii pochwał brakuje mi w książce jednej z ważnych kwestii, tj. autorskiej próby zarysowania szerszej definicji współczesnej tożsamości kolejnego pokolenia, czy już nawet kolejnych pokoleń, osiadłych na ziemiach ponemieckich. Co prawda w rozdziale „Rzeczy” (podrozdział: „Wielka rehabilitacja”) mowa jest o trzecim pokoleniu, które od lat 90. uzyskuje pełnoletniość i poddaje się modzie na małe, lokalne ojczyzny (s. 135), jednak próba uchwycenia sedna tej definicji rozmywa się gdzieś w pojedynczych, aczkolwiek interesujących historiach (rzeczy i ludzi). Obserwując nadodrzański krajobraz społeczny dzisiaj, pytanie o tożsamość wyłania się w zderzeniu z dość – wydawałoby się – nietypowymi sytuacjami, wynikającymi albo z pełnej adaptacji odziedziczonego miejsca, albo z tożsamościowej obojętności. Na przykład polskim mieszkańcom Słubic, dziś pracującym w Niemczech i tam płacącym podatki oraz korzystającym z tamtejszej służby zdrowia, zdarza się powiedzieć: „U nas w Brandenburgii”. Albo też: osoba o ormiańskich korzeniach, rosyjsko brzmiącym nazwisku, zafascynowana średniowiecznymi Krzyżakami mówi: „My Lubuszanie”. Taka tożsamość domagałaby się szerszej analizy, albo też jej analiza mogłaby być przyczynkiem do jakiejś obszerniejszej, oddzielnej dysertacji. W książce „Ponemieckie”, akcent położony jest jednak raczej na niejako antykwaryczne, sentymentalne ujęcie przeszłości:

Ci, którzy po wojnie gorliwie usuwali ślady „niemczyzny”, zaczynają je równie gorliwie zbierać i restaurować – jakby starając się wynagrodzić rzeczom i krajobrazom dziesięciolecia traktowania po macoszemu (s. 134).

Wiele rozdziałów, zwłaszcza „Domy”, „Szaber”, i „Rzeczy”, a także „Liegnitz”, uświadamia ogrom dokonanego przez dziesięciolecie zniszczenia. Nie chodzi tylko o zaniedbanie, ale też o programową destrukcję, jakby jakąś zemstę na martwym ciele; niczym masakrowanie trupa lub jakiś akt uświęcającej profanacji. Wycięte drzewa w alejach między miejscowościami, tworzące niegdyś tak charakterystyczny dla Niemiec (w tym także na Mazurach) element krajobrazu; „zabudoza” i „pasteloz” w stylu *Polengelb* (s. 259); obłożone styropianem pruskie mury, skute ceramiczne parapety i przeprute kamienne futryny okien; zdjęte dekoracje attyk miejskich willi; rozbite kominki i piece kaflowe; zdemontowane instalacje sanitarne; zdemastowany system melioracyjny; rozebrane młyny, elektrownie wodne i tamy na kanałach. W książce Kuszyk ta dewastacja przywołana jest dość „mięsiście”, a wymownym fragmentem jest tu cytat z pamiętnika Franciszka Buchtalarza, który pisał: „Żółć chciała pęknąć, patrząc na to zniszczenie” (s. 169-170). Można by tu też ironicznie, i z nutą rezerwy przywołać słowa Winstona Churchilla, który

na wieść o oddaniu Polsce tych ziem miał powiedzieć, że „to tak, jakby podarować małpie zegarek. Wiadomo, że go zepsuje”. Jednak rozebrane ze skrupulatnością do pojedynczej cegły poniemieckie dwory i poewangelickie kościoły nie poszły na marne. Wiele z tych cegieł posłużyło do odbudowy zamku królewskiego w Warszawie. Przypominając wzmiankowaną na wstępie historię z zielonogórskim licealistą, można tu przekornie powiedzieć, że w pewnym sensie miał on rację, a te cegły już tam zostaną na zawsze. Nową ikoną ziem „pozyskanych” staje się dziś natomiast wielki, biały Chrystus w Świebodzinie. Nie jest poniemiecki, ale w niemiecką stronę zwrócony, jakby tyłem do Polski.

Wartość książki Karoliny Kuszyk polega właśnie na tym, że uświadamia, wzbudza refleksję i skłania do przemyśleń, ale jest także źródłem ciekawych i ważnych informacji. Chciałbym zwrócić uwagę na rozdział czwarty, „Rzeczy”, a w nim na dwa podrozdziały: „Słoiki” oraz „Obrazy i obrazki”. Dopiero teraz dowiedziałem się, że *einwecken* wywodzi się od nazwiska Weck, mimo że sam Johann Weck nie był pomysłodawcą konserwowania żywności metodą gotowania w szklanych, szczelnie zamkniętych i umocnionych gumową uszczelką naczyniach (s. 146). Metodę tę wymyślił to w końcu XIX wieku pewien chemik z Gelsenkirchen, Rudolf Rempel, który wkrótce po opatentowaniu swojego pomysłu umarł, ale wdowa po nim sprzedała patent Johannowi Weckowi, który z kolei w spółce z Gregorem van Eyckiem rozpowszechnili wekowanie, robiąc na tym zawrotny biznes. Jak się dowiadujemy z książki, *poniemieckie* weki uratowały przed głodem niejednego repatrianta.

Ten sam repatriant na pytanie, jaki obraz po poprzednich właścicielach zapamiętał najbardziej, odpowiada, że Anioł Stróż pilnujący dzieci, albo jakiś wariant wizerunku Chrystusa. Podrozdział „Obrazy i obrazki”, to dla mnie – jako historyka sztuki – zdecydowanie najciekawsza część. Odebrałem go jako wykład uzupełniający braki programowe jeszcze z czasów studiów. Przedstawiony jest tu nie tylko kontekst, w jakim gust romantyczny spleta się z duchem germańskim, ale także odpowiedź na pytanie, dlaczego nazistom nie odpowiadały takie „cacka”. Samo słowo wywodzi się od nazwiska Hansa Zatzki (podpisującego się czasem pseudonimami Zabaterii lub Ronsard), wiedeńskiego malarza „post-secesyjnego”, który od 1914 roku, we współpracy z manufakturą oleodruków KAMAG w Dreźnie, tworzył prototypy dla reprodukcji ckliwych obrazków religijnych. To właśnie Zatzka jest autorem słynnego Anioła Stróża przeprowadzającego dzieci po kładce nad przepaścią, który potem narodowi socjaliści będą chcieli zastąpić własną tandetą faszystowską, przedstawiającą jednowymiarowe, grubo ciosane i pozbawione uroku postaci chłopskie (s. 199). Historia oleodruków nakreślona jest w książce

z pewną detektywistyczną pasją i stanowi rodzaj oddzielnej rozprawy z zakresu historii sztuki. Poznajemy nie tylko prototypy tych ckliwych, wszystkim dzisiaj znanych obrazków, ale też ich różne wersje, ich autorów oraz manufaktury i drukarnie, które potem – obsługiwane ciągle przez znających fach drukarski Niemców – służyły polskiemu odbiorcy. Poniemieckie oleodruki jeszcze przez wiele lat ozdabiały przestrzeń życiową nowych osadników czy repatriantów, a największym powodzeniem cieszyły się formaty leżącego prostokąta, idealnie mieszczące się nad łóżkiem w niskich izbach. Były też obrazy inne, tj. portrety, które nie miały szans na przetrwanie w spotkaniu z polskim lub radzieckim przybyszem. To nie tylko wizerunki Führera, ale także Bismarcka i Fryderyka Wielkiego. Ten ostatni – w wersji na koniu – dzisiaj wisi na ścianie naszego poznańskiego mieszkania. Nie jest to jednak rodzinna pamiątka, nie pochodzi też z szaberplacu. Został przywieziony z berlińskiego targu staroci jako souvenir z miejsca, które ciągle wydaje się tajemniczo znajome i bliskie. Dziś ten wiszący na ścianie wizerunek jedni nazywają starym Frycem, a inni – nie wiedząc czemu – myślą go z Wilhelmem II, i zwą zdrobniale po wielkopolsku – Wilusiem. Dla części rodziny obraz jest jednak pstryczkiem w nos.

Książki Karoliny Kuszyk nie można zestawić z żadną inną podejmującą ów temat publikacją reporterską, bo innych po prostu nie ma. „Poniemieckie” jest publikacją nowatorską, pionierską i stanowi chyba jeden z pierwszych, ale niezwykle ważnych głosów w tej materii. Aż dziw bierze, że taka publikacja powstaje dopiero teraz. Niecierpliwym naukowcom szukającym konkluzji i syntez publikacja może wydać się przydługawa, ale jej walorem jest właśnie opowiadanie – o rzeczach i ludziach. Biografie bohaterów książki – jak podkreśla wyraźnie autorka – spletają się tu z biografiami rzeczy. Karolina Kuszyk przygląda się więc

pierwszemu i drugiemu życiu *poniemieckiego* – temu, jaki był emocjonalny stosunek nowych właścicieli do przejętego mienia, jak go używano i jakimi znaczeniami obrastało na przestrzeni lat (s. 22).

Publikacja jest rodzajem

osobistego przewodnika po losach *poniemieckiego* w jego codziennej, domowej odmianie, obserwacją uczestniczącą i zapisem z podróży po Polsce, nie tylko zachodniej i północnej (s. 22).

Autorka wychodzi też od pytania: „w sąsiedztwie jakich przedmiotów ustawiano te *poniemieckie*, w jakich okolicznościach je gromadzono, albo się ich po-

zbywano”. Wreszcie, co motywuje dokonującą się od lat 90. zmianę nastawienia do starych przedmiotów, które z gratów i śmieci stają się na powrót rzeczami zasługującymi na uwagę i szacunek; w jaki sposób otrzymują drugie życie. Dziś posiadanie czegoś poniemieckiego jest nawet w dobrym tonie i stanowi pewną „pozytywną nutę”, książka uświadamia jednak, że przez dziesięciolecia było inaczej.

Publikacja Karoliny Kuszyk ma charakter dokumentacyjny i w tym sensie jest oryginalnym głosem we współczesnym dyskursie kulturowym. Jej ważnym walorem jest ponadto treściowe zakotwiczenie w literaturze pięknej, powstającej w Polsce po 1989 roku, jako wyraźne, a zarazem deklaratywne tło. Oprócz wymienionych już takich twórców jak Olga Tokarczuk, Paweł Huelle, Joanna Bator i Szczepan Twardoch sama autorka przywołuje ponadto Stefana Chwina („Hannemann”) oraz Artura Daniela Liskowackiego („Cukiernica pani Kirsch”). Z książek wymienionych pisarzy, na szczególną uwagę zasługują: „Dom dzienny, dom nocny”, „Opowiadania na czas przeprowadzki” i „Ciemno, prawie noc”. Ten „wysyp poniemieckich przedmiotów w literaturze” sama autorka tłumaczy m.in. „tym, co wyparte, i głodem opowieści o prawdziwym początku, zbyt długo oszukiwanym piastowskimi baśniami i legendami” (s. 135). Książka „Poniemieckie” uświadamia więc przede wszystkim, iż „piastowskie legendy i baśnie” są pewną sztuczną, polityczno-historyczną narracją, która bez mrugnięcia okiem wymazuje osiem wieków niemieckiej bytności na tym obszarze, tworząc olbrzymią historyczną próżnię. Zatem dotychczasowa, uporczywa manifestacja bezwzględnej polskości tych obszarów została nie tylko grubymi nićmi uszyta, ale jest wręcz fałszem okrutnie zniekształcającym pierwotny obraz. „Poniemieckie” wyławia to, co nie do końca – społecznie i kulturowo – uświadomione, i czyni to zarówno w obszarze biograficznego splotu rzeczy z ludźmi, jak i na płaszczyźnie historii, polityki i przede wszystkim emocji.

Bibliografia

- Peschken A. 2016, „Uwaga, leć kamienie”, albo o rzucaniu kamieniami w szklarni, [w:] (Nie)chciana tożsamość, Toruń, s. 113-127.
- Springer F. 2020, Wanna z kolumnadą. Reportaże o polskiej przestrzeni, Kraków.